

JOHN GRISHAM WEZWANIE



ALBATROS

Rozdział 1

Przyszło pocztą, zwykłym listem, ponieważ dobiegający osiemdziesiątki Sędzia nie miał zaufania do współczesnych urządzeń łączności. Nie wysyłał wiadomości pocztą elektroniczną i nie korzystał z faksu. Nie włączał automatycznej sekretarki i nawet do telefonu odnosił się z rezerwą. Zasiadał przy swoim starym biurku stojącym pod wielkim portretem Nathana Bedforda Forresta, podnosił roletę z listewek i nisko pochylony nad walizkową maszyną do pisania Underwooda, z mozołem, litera po literze, dwoma palcami wskazującymi wystukiwał wszystkie pisma. Jego dziadek walczył u boku generała Forresta pod Shiloh i później przedzierał się z nim na południe, toteż Sędzia darzył konfederackiego przywódcę najwyższym szacunkiem. Przez trzydzieści dwa lata uparcie odmawiał prowadzenia rozpraw trzynastego lipca, w dniu urodzin Forresta.

Razem z jeszcze jednym listem, prenumerowanym czasopismem i dwoma rachunkami znalazło się w skrytce pocztowej profesora Raya Atlee na wydziale prawa. Od razu rozpoznał charakterystyczną kopertę – listy od ojca, którego nigdy nie nazywał inaczej niż Sędzią, stanowiły nieodłączny element jego życia.

Profesor Atlee patrzył na nią przez chwilę, nie mogąc się zdecydować, czy powinien natychmiast otworzyć kopertę, czy na razie się z tym wstrzymać. Nigdy nie wiedział, czego

spodziewać się po ojcu, ale oczekiwał raczej złych wiadomości, bo Sędzia był umierający. W cienkiej kopercie musiała się znajdować pojedyncza kartka. W tym też nie było nic niezwykłego, ponieważ staruszek oszczędnie przelewał słowa na papier, chociaż przed laty słynął z długich i kwiecistych mów w sali rozpraw.

Na pewno chodziło o jakieś sprawy urzędowe. Sędzia brzydził się plotkami, nie znosił towarzyskich konwersacji i mówienia o niczym, zarówno w mowie, jak i na piśmie. Wypicie mrożonej herbaty na werandzie w jego towarzystwie musiało niechybnie oznaczać dyskusję na temat wojny domowej, a zwłaszcza klęski pod Shiloh, za którą winił wyłącznie generała Pierre'a G.T. Beauregarda, człowieka w wypolerowanych do połysku, nietkniętych drobiną kurzu butach. Z pewnością nienawidziłby go nawet w niebie, gdyby mieli okazję się tam spotkać.

Był już bliski śmierci. Skończył siedemdziesiąt dziewięć lat i cierpiał na raka żołądka. Nałogowo palił fajkę, przeszedł trzy zawały, miał nadwagę, cukrzycę oraz całą masę dokucających mu od dwudziestu lat drobniejszych dolegliwości, które obecnie jednoczyły siły do zadania ostatecznego ciosu. Bez przerwy uskarżał się na ból. W czasie ostatniej rozmowy telefonicznej przed trzema tygodniami – kiedy jak zwykle zadzwonił Ray, bo dla jego ojca połączenia międzymiastowe były zbędnym wydatkiem – Sędzia mówił z wysiłkiem i sprawiał wrażenie osłabionego. Rozmawiali niecałe dwie minuty.

Adres zwrotny na kopercie był wytłoczony złotymi literami: *Przewodniczący Reuben V. Atlee. XXV okręg sądowy, Sąd Kanclerski* w Clanton, hrabstwo Ford w stanie Missisipi.*

*Sąd kanclerski (*Chancery Court*) – działający w stanie Missisipi sąd do spraw rodzinnych (rozwoły, adopcje, wyznaczanie opiekunów prawnych), ale także zajmujący się uznawaniem niepoczytalności, sporami spadkowymi i zarzutami o niekonstytucyjność ustaw stanowych. Od sędziego zwanego kanclerzem zależy, czy rozprawa odbywa się z udziałem ławy przysięgłych.

Ray wsunął ją do czasopisma i poszedł dalej. Sędzia nie był już przewodniczącym sądu kanclerskiego; przed dziewięćcioma laty przegrał wybory, co odebrał jako dotkliwy cios, po którym do dziś nie mógł się pozbiierać. Po tym, jak przez trzydzieści dwa lata poświęcał się służbie publicznej, wybrano na jego miejsce kogoś młodszego, kto reklamował się w radiu i telewizji. Zrezygnował nawet z kampanii wyborczej, twierdząc, że ma dużo pracy, a jest powszechnie znany, więc ludzie i tak go wybiorą, jeśli będą tego chcieli. Współpracownicy uznali jego podejście za zbyt aroganckie. I zwyciężył tylko w macierzystym hrabstwie, w pozostałych pięciu należących do okręgu wybrano innego kandydata.

Musiały minąć jeszcze trzy lata, zanim ostatecznie pożegnał się z sądem. Jego gabinet na pierwszym piętrze przetrwał pożar budynku i uniknął dwóch generalnych remontów. Sędzia nie pozwolił tam niczego tknąć ani położyć choćby jednej warstwy świeżej farby. Kiedy władzom stanowym udało się go w końcu przekonać, żeby przeszedł na emeryturę, bo inaczej zostanie usunięty siłą, spakował do kartonowych pudeł bezwartościowe akta, stosy notatek i pokryte kurzem książki gromadzone przez trzydzieści lat, zaczął je kolejno transportować do domu i ustawiać w sterty w gabinecie, a gdy zabrakło w nim miejsca, pod ścianą w korytarzu aż do drzwi jadalni, wreszcie w kątach holu wejściowego.

Ray skinął głową studentowi siedzącemu na ławce przed jego gabinetem, po czym zamienił parę słów z kolegą, wreszcie wszedł do środka, zamknął drzwi i położył pocztę na środku biurka. Zdjął marynarkę, powiesił ją na haczyku na drzwiach i przestąpił stertę opasłych kodeksów prawa, nad którą przechodził od pół roku, za każdym razem nakazując sobie zrobić porządek.

Zajmował pokój o wymiarach cztery na pięć metrów, z niewielkim biurkiem i jeszcze mniejszą kanapą, przy czym jedno i drugie było zavalone papierami, tak że goście mogli odnieść wrażenie, że gospodarz jest nadzwyczaj zajęтым człowie-

kiem. Prawda wyglądała inaczej. W semestrze wiosennym prowadził zajęcia tylko z prawa antytrustowego, resztę czasu powinien poświęcać na pisanie książki – kolejnej rozwlekłej i nudnej rozprawy na temat monopolu, która nikogo nie zainteresuje, za to wydatnie powiększy jego dorobek naukowy. Co prawda, miał stały etat, ale jak całe akademickie grono pedagogiczne, musiał się poddać niepisanej uczelnianej regule: „publikuj albo znikaj”.

Usiadł przy biurku i zrobił trochę miejsca między papierami.

List był zaadresowany: *Profesor N. Ray Atlee, Wydział Prawa Uniwersytetu Wirginii, Charlottesville, Wirginia*. Wewnętrzne części liter „a”, „e”, „o” tworzyły ciemne plamy. Taśmę w maszynie do pisania należało wymienić już z dziesięć lat temu. Poza tym Sędzia nie wierzył także w celowość umieszczania kodu pocztowego.

N. było skrótem od Nathana, imienia, które Ray dostał po generale, choć ledwie parę osób o tym wiedziało. Przed laty wywiązała się zacięta kłótnia, kiedy postanowił całkiem z niego zrezygnować i zostać zwykłym Rayem.

Sędzia zawsze przysyłał listy na wydział, nigdy nie na domowy adres syna w Charlottesville. Uwielbiał tytuły i dumnie brzmiące nazwy; bardzo mu zależało, aby wszyscy w Clanton, nawet pracownicy poczty, wiedzieli, że jego syn jest wykładowcą prawa, chociaż było to całkowicie zbędne. Ray pracował na wydziale i pisywał publikacje od trzynastu lat, zatem wszyscy z hrabstwa Ford, których to interesowało, wiedzieli o tym od dawna.

Rozerwał kopertę i rozłożył kartkę. W nagłówku także był wytłoczony złotymi literami dawny tytuł i nazwisko nadawcy oraz adres, również bez kodu pocztowego. Sędzia najwyraźniej dysponował olbrzymim zapasem firmowego papieru listowego i kopert.

Pismo było zaadresowane do Raya i jego młodszego brata, Forresta – jedynych owoców nieudanego małżeństwa, które

zakończyło się w 1969 roku śmiercią ich matki. Jak zwykle wiadomość była lakoniczna:

Proszę, postarajcie się stawić w moim gabinecie w niedzielę, 7 maja, o godzinie 17.00, w celu omówienia spraw dotyczących zarządzania moim majątkiem.

Z poważaniem
Reuben V. Atlee

Zwykle zamaszysty podpis tym razem był dziwnie skurczony i chwiejny. Przez lata uświetniał rozmaite nakazy i wyroki, które odmieniły życie wielu ludzi. Postanowienia o rozwodzie, przyznawanie praw do opieki nad dziećmi, odbieranie praw rodzicielskich czy uznanie adopcji; decyzje rozstrzygające spory o podział spadku, wynik wyborów, granice posiadłości ziemskich albo przejęcia aktywów. Dobrze znany podpis reprezentujący autorytet był teraz ledwie rozpoznawalnym bohomazem schorowanego starego człowieka.

Niemniej Ray wiedział, że musi się stawić w gabinecie ojca w wyznaczonym terminie. Jeśli nawet poczuł się zirytowany tak stanowczym wezwaniem, nie miał żadnych wątpliwości, że razem z Forrestem stanie przed majestatem Wysokiego Sądu, by wysłuchać jeszcze jednego kazania. Ojciec, jak zawsze, wybrał termin dogodny dla niego, nie troszcząc się wcale, czy odpowiada on innym.

Leżało to w naturze Sędziego, jak też, ściślej rzecz biorąc, w naturze wszystkich sędziów, wyznaczających daty przesłuchań i rozpraw bez oglądania się na cokolwiek. Takie bezkompromisowe podejście jest wskazane, a nawet konieczne w sądzie, przy zapełnionej wokandzie, wobec ociągających się pozwanych albo leniwych czy też wiecznie zabieganych adwokatów. Tyle że Sędzia tak samo traktował rodzinę i w domu rządził podobnie jak w sali rozpraw, co stało się główną przyczyną, dla której Ray wykładał prawo w Wirginii, a nie w Missisipi.

Ray jeszcze raz przeczytał lakoniczne wezwanie, po czym odłożył je na stertę dokumentów związanych z bieżącymi sprawami. Podeszedł do okna i wyjrzał na pełen zieleni i kwiatów teren kampusu. Nie czuł złości ani rozgoryczenia, był jednak rozdrażniony tym, że ojciec znów odnosi się do niego jak dyktator. Tłumaczył sobie w duchu, że jest umierający i trzeba mu to wybaczyć. Prawdopodobnie miała to być już ostatnia wyprawa do rodzinnego domu.

Majątek Sędziego otaczała mgła tajemnicy. Jego zasadniczą częścią był dom, a raczej duży dworek odziedziczony po tym dziadku, który walczył z generałem Forrestem. Gdyby stał wśród starych drzew na przedmieściach Atlanty, byłby wart ponad milion dolarów. Ale otoczony dwoma hektarami ugorów, stał na skraju Clanton, zaledwie trzysta metrów od rynku. Podłogi się zapadały, dach przeciekał, a ściany nie widziały świeżej farby od narodzin Raya. On i brat mogli za niego dostać najwyżej sto tysięcy, a nabywca musiałby wyłożyć jeszcze ze dwa razy tyle, by móc się tam wprowadzić. Bo żaden z braci na pewno nie chciałby tam mieszkać. Prawdę powiedziawszy, Forrest od wielu lat nie widział rodzinnego domu na oczy.

Nosił szumną nazwę Klonowy Zdrój, jakby faktycznie był posiadłością, gdzie zatrudniano liczną służbę i regularnie wydawano przyjęcia. Tymczasem jedyną pracującą tam kiedykolwiek osobą była stara pokojówka o imieniu Irene, która zmarła przed czterema laty, i od tamtego czasu nikt nawet nie zamiatał podłóg i nie ścierał kurzu z mebli. Sędzia płacił jakiemuś chłopakowi z sąsiedztwa dwadzieścia dolarów tygodniowo za koszenie trawy, a i tak robił to z oporami, uważając, że wydatek osiemdziesiąt dolarów miesięcznie to zdzierstwo.

Kiedy Ray był mały, matka nie nazywała majątku inaczej niż Klonowym Zdrojem. Na obiad wracali nie do domu, ale do Klonowego Zdroju. Listy adresowało się nie do państwa Atlee przy Czwartej Ulicy, lecz do Klonowego Zdroju przy

Czwartej Ulicy. Tylko nieliczne posiadłości w Clanton miały swoje indywidualne nazwy.

Gdy matka zmarła z powodu tężniaka, jej zwłoki wystawiono na stole we frontowym salonie. Przez dwa dni mieszkańcy miasteczka paradowali przez werandę, główny hol i salon, by złożyć jej ostatni hołd, a następnie w jadalni ugościć się ponczem i ciastem. Ray z Forrestem, ukryci na poddaszu, przeklinali ojca za tolerowanie tego żałosnego widowiska. Przecież w otwartej trumnie, wystawiona na widok publiczny, leżała blada i sztywna ich matka, jeszcze młoda i piękna kobieta.

Forrest nie nazywał domu inaczej niż Klonową Rudę. Żłotoczerwone klony, które niegdyś stały wzdłuż bocznej uliczki, pousychały od nieznanej zarazy, a spróchniałych pni nie wycięto. Frontowy trawnik ocieniały cztery rozłożyste dęby. Jesienią liście opadały z nich tonami, nie można było nadążyć z ich zagrabianiem i wywożeniem. Do tego co najmniej dwa razy do roku w którymś z drzew pękał gruby konar, spadał na dach i nie zawsze był od razu usuwany. Ale dom jakimś cudem dzielnie znosił przez lata wszystkie ciosy, stał mocno na fundamentach i nie zamierzał się walić.

Nadal był piękny i okazały, w stylu króla Jerzego, z rzeźbioną kolumnadą frontowej werandy. Tyle że z prawdziwego dzieła sztuki architektonicznej stał się istnym reliktem wymierającego rodu. Ray nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Dla niego stary dom był pełen nieprzyjemnych wspomnień i po każdej wizycie wracał przygnębiony. A już na pewno nie stać go było na to, by topić pieniądze w bezdennej studni zaniedbanego dworku, który należało raczej zrównać z ziemią. Gdyby odziedziczył go Forrest, ten pewnie od razu podłożyłby ogień, jeszcze przed podpisaniem wszystkich papierów.

Jednakże stary sędzia życzył sobie, aby to Ray przejął rodzinną posiadłość i zatroszczył się o nią. Już od kilku lat wracał do tego tematu, choć na razie tylko ogólnikowo. Ray zaś nigdy nie zdobył się na odwagę, by zapytać: „O jaką rodzinę chodzi?”. Nie miał dzieci, z byłą żoną nie utrzymywał kon-

taktów i na razie nie zamierzał się drugi raz żenić. Podobnie Forrest, który mógł się pochwalić wyłącznie dość odpychającą kolekcją byłych narzeczonych, a obecnie mieszkał z Ellie, ważącą sto pięćdziesiąt kilo malarką i garnarką, starszą od niego o dwanaście lat. Można było uznać za wybryk biologii to, że Forrest nie spłodził dotąd dzieci, w każdym razie nic na ten temat nie wiedział.

Tak więc ród Atlee zmierzał do nieuchronnego smutnego końca, czym zresztą Ray wcale się nie przejmował. Żył na własny rachunek, a nie dla dobra ojca czy wspaniałej rodzinnej przeszłości. Przyjeżdżał do Clanton jedynie na pogrzeby.

Nigdy nie rozmawiali o pozostałym majątku Sędziego, a rodzina Atlee niegdyś, jeszcze przed narodzinami Raya, należała do bardzo bogatych. Posiadała plantacje bawełny, na których pracowali niewolnicy, udziały w lokalnych liniach kolejowych i kilku bankach oraz uczestniczyła w życiu politycznym. Niestety, do połowy dwudziestego wieku tego typu konfederackie majątki niemal całkiem podupadły. Po dawnej świetności rodu Atlee pozostał jedynie status bogatej rodziny z Południa.

Kiedy Ray skończył dziesięć lat, zaczął mieć tego świadomość. Uzmysłowił sobie, że ojciec jest przewodniczącym sądu okręgowego i mieszkają w rezydencji noszącej własną nazwę, a w rolniczych rejonach Missisipi oznaczało to, że był dzieckiem z bogatego domu. Matka przed śmiercią robiła wszystko, aby przekonać obu synów, że jako prezbiterianie żyjący w okazałej rezydencji są lepsi od rówieśników z sąsiedztwa. Co trzy lata wysyłała ich na wakacje na Florydę, a od czasu do czasu zabierała na obiad do restauracji hotelu Peabody w Memphis. Zawsze byli lepiej ubrani od kolegów ze szkoły.

Później, gdy Ray dostał się na Uniwersytet Stanforda, ojciec oznajmił krótko:

- Nie stać mnie na opłacenie twoich studiów.
- Co to znaczy? – zapytał Ray ostro, rozjątrzony do ży-

wego.

– Dokładnie to, co powiedziałem. Nie stać mnie na twoją naukę na uniwersytecie.

– Nie rozumiem.

– W takim razie wytłumaczę ci dokładniej. Możesz iść do takiego college'u, do jakiego sobie życzysz, ale opłacę twoją naukę tylko w Sewanee.

I Ray, zmuszony nagle do zmiany poglądów w kwestii rodzinnego bogactwa, zaczął studia w Sewanee. Pieniądzy od ojca starczało zaledwie na opłatę czesnego, zakup podręczników i niezbędne studenckie wydatki. Potem przeniósł się na wydział prawa Uniwersytetu Tulane'a w Nowym Orleanie i zdołał ukończyć studia tylko dzięki temu, że wieczorami zmywał talerze i stoliki w barze ostrygowym w Dzielnicy Francuskiej.

Przez trzydzieści dwa lata ojciec zadowalał się pensją przewodniczącego sądu kanclerskiego, jedną z najniższych w całym kraju. Podczas studiów na Tulane Ray zetknął się z raportem na temat sędziowskich wynagrodzeń i ze smutkiem przeczytał w nim, że sędziowie w Missisipi zarabiają średnio pięćdziesiąt dwa tysiące rocznie, gdy tymczasem przeciętna krajowa wynosi dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

Stary Atlee mieszkał sam, niewiele wydawał na życie i nie miał kosztownych nałogów, nie licząc palenia fajki, do której zresztą kupował najtańszy tytoń. Jeździł zardzewiałym lincolnem, odżywiał się byle jak, chociaż do syta, i nosił czarne garnitury pochodzące jeszcze z lat pięćdziesiątych. Nie stronił jednak od działalności dobroczynnej, lubił rozdawać ciężko zaoszczędzone pieniądze. Nikt nie wiedział, ile w sumie na to przeznaczą. Dziesięć procent jego dochodów szło automatycznie na potrzeby Kościoła prezbiteriańskiego. Uczelnia w Sewanee dostawała dwa tysiące dolarów rocznie, podobnie jak Zrzeszenie Synów Konfederackich Weteranów. Te trzy datki były niepodważalne, ale na nich się nie kończyło.

Sędzia Atlee gotów był dać pieniądze każdemu, kto o nie

poprosi – kalekiemu dziecku na kule, drużynie oldbojów organizującej turniej stanowy, wolontariuszce z Klubu Rotariańskiego zbierającej na głodujące niemowlęta z Konga, kierownicze schroniska dla bezdomnych psów i kotów, kustoszowi jedyne muzeum w Clanton na nowe pokrycie dachu.

Lista nie miała końca, tym bardziej że wystarczyło przysłać krótki list z prośbą, a w odpowiedzi dostawało się czek. Od czasu, kiedy obaj synowie wyprowadzili się z domu, sędzia lekką ręką rozdawał w ten sposób pieniądze. Ray niemal widział oczami wyobraźni, jak ojciec zasiada wśród starych papierysk, podnosi zakurzoną listewkową żaluzję biurka, wystukuje na swoim underwoodzie lakoniczne pisma, po czym wsuwa je do kopert z wytłoczonym złotym nadrukiem i dołącza ledwie czytelnie wypisany czek z banku First National w Clanton – ten na pięćdziesiąt dolarów, ten na sto, po trochu dla każdego, dopóki zostało jeszcze parę groszy z emerytury.

Sprawy majątku powinny być bardzo proste, ponieważ niewiele obejmował: archaiczne kodeksy i podręczniki prawa, podniszczone meble, pamiątki i zdjęcia rodzinne przywołujące bolesne wspomnienia, zdezaktualizowane dokumenty – krótko mówiąc, wielką stertę rupieci, z których należało rozpałić imponujące ognisko. A potem Ray do spółki z Forrestem powinni sprzedać stary dom za taką sumę, jaką zdołają uzyskać, i cieszyć się, że cokolwiek odziedziczyli z osławionej rodzinnej fortuny.

Przyszło mu do głowy, że warto by zadzwonić do brata, ale i tym razem odłożył to na później. Forrest reprezentował sobą odrębny zestaw kłopotów i problemów, o wiele bardziej skomplikowanych niż te, które wiązały się z umierającym, wiodącym pustelniczy żywot i rozdającym swoją emeryturę ojcem. Trzydziestosześcioletni, przypominał żywą, chodzącą katastrofę, z umysłem dokumentnie zatrutym wszelkimi dostępnymi – zarówno legalnymi, jak i nielegalnymi – substancjami otumaniającymi.

– Cudowna rodzinka – mruknął Ray pod nosem.

Wypisał zawiadomienie o odwołaniu najbliższych zajęć swojej grupy i wyruszył na swoją „terapię”.

Rozdział 2

Wiosna w Piedmoncie to czyste błękitne niebo, zieleniejące z dnia na dzień łagodne zbocza wzgórz i ciągle zmieniający się wygląd doliny Shenandoah, w miarę jak rolnicy wykonują kolejne prace na polu. Co prawda na jutro zapowiadano deszcz, ale w środkowej Wirginii nie można ufać prognozom pogody.

Ray miał wylatane już prawie trzysta godzin i każdego ranka, wychodząc na swoją ośmiokilometrową trasę joggingu, uważnie obserwował niebo. Biegać mógł niemal przy każdej pogodzie, ale latać już nie. Na samym początku obiecał sobie (jak również firmie ubezpieczeniowej), że nigdy nie będzie latał po zmierzchu ani zapuszczał się w chmury, bo do dziewięćdziesięciu pięciu procent wypadków małych turystycznych samolotów dochodzi albo z powodu ciemności, albo złej pogody. Brał lekcje pilotażu prawie od trzech lat, a wciąż przyznawał się otwarcie do tchórzostwa. Świącie wierzył w trafność powiedzenia, że „są starzy piloci i brawurowi piloci, ale nie ma pilotów i starych, i brawurowych”.

A poza tym uważał centralną Wirginię za zbyt piękną, by latać nad nią w chmurach. Dlatego wyczekiwał na idealną pogodę – bez wiatru, który by komplikował lądowanie, mgły zacierającej linię horyzontu, wysokiej wilgotności czy chmur zwiastujących opady. Wiedział z doświadczenia, że idealnie

czyste niebo w porze joggingu zwiastuje dobrą pogodę na resztę dnia. A bez trudu mógł przesunąć lunch czy nawet odwołać zajęcia i odłożyć pracę na mniej sprzyjającą porę. Jeśli do tego prognoza była obiecująca, prosto z domu jeździł na lotnisko.

Lotnisko mieściło się na północ od miasta, piętnaście minut jazdy od wydziału prawa. W Szkole Pilotażu Dockera był już po przyjacielsku witany przez Dicka Dockera, Charliego Yatesa i Foga Newtona, trzech byłych pilotów marynarki wojennej, którzy prowadzili lekcje i wyszkolili większość amatorów z okolicy. Codziennie czekali na swoich uczniów w Kokpicie, głównej sali szkoły pilotażu, z rzędem starych drewnianych składanych krzeseł, gdzie litrami popijali kawę i snuli wysrane z palca lotnicze opowieści, które z każdym dniem były coraz bardziej dramatyczne. Poza tym wszystkich kursantów i klientów traktowali z taką samą – niekiedy nawet obraźliwą – arogancją, jakby w ogóle im na nich nie zależało, ponieważ dostawali z wojska niezłe emerytury.

Na widok Raya zaczęli się prześcigać w opowiadaniu starych dowcipów o prawnikach, z których żaden nie był szczególnie zabawny, a mimo to kwitowali je gromkimi wybuchami śmiechu.

– Nic dziwnego, że nie macie żadnych uczniów – zauważył cierpko Ray, wypisując dokumenty.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał ostro Docker.

– Wybić parę dziur w niebie.

– W takim razie ostrzeżemy wieżę kontrolną.

– A nie jesteście zbyt zajęci, żeby zawracać sobie tym głowę?

Po dziesięciu minutach takiej wymiany zdań mógł wreszcie startować. Osiemdziesiąt dolarów za godzinę kosztowało go wynajęcie cessny pozwalającej wzbic się dwa kilometry nad ziemię i uciec od ludzi, telefonów, zakorkowanych ulic, studentów, pracy naukowej, a tego dnia także od umierającego ojca, szurniętego brata i masy kłopotów, z jakimi wiązała

się podróż do rodzinnego miasteczka.

Z trzydziestu samolotów, które były tu do dyspozycji, większość stanowiły górnopłatowe małe cessny ze stałym podwoziem, cieszące się sławą najbezpieczniejszych maszyn, jakie dotąd skonstruowano. Na chętnych czekały też bardziej luksusowe samoloty. Tuż obok wyznaczonej Royowi awionetki stała beech bonanza, jednosilnikowe, dwustukonne cacko, które przy niewielkiej pomocy instruktora nauczyłby się pilotować najwyżej w ciągu miesiąca. Rozwijała prędkość o dobre sto dwadzieścia kilometrów na godzinę większą od cessny i była wyposażona w tyle gadżetów, że mogła wywołać zachwyt każdego pilota. Co gorsza, właśnie ta bonanza była na sprzedaż. Rzecz jasna, okazjnie, tylko za czterysta pięćdziesiąt tysięcy, co oczywiście nie było żadną specjalną okazją, bo według plotek krążących w Kokpicie jej dotychczasowy właściciel, budujący duże centra handlowe biznesmen, postanowił ją wymienić na jeszcze bardziej luksusowego king aira.

Ray oderwał wzrok od bonanzy i skupił się na sąsiedniej maszynie. Jak każdy świeżo upieczony pilot, bardzo dokładnie sprawdził stan cessny. Jego instruktor, Fog Newton, zaczynał każdą lekcję od przerażającej opowieści o pożarze bądź katastrofie maszyny, której zbyt leniwy albo działający w pośpiechu pilot nie skontrolował należycie przed startem.

Kiedy upewnił się, że wszystkie części zewnętrzne i ruchome elementy usterzenia są w należyтым porządku, otworzył drzwi, usiadł za sterami i zapiął pasy. Silnik zaskoczył od razu, łączność radiowa była bez zastrzeżeń. Wykonawszy procedurę przedstartową, połączył się z wieżą. Musiał chwilę poczekać, aż odleci wycarterowany samolot pasażerski, ale już dziesięć minut po wejściu do maszyny otrzymał pozwolenie na start. Łagodnie wzbił się w powietrze, po czym skręcił na zachód, w stronę doliny Shenandoah.

Na wysokości tysiąca trzystu metrów przeskoczył leżące niewiele pod nim szczyty pasma górskiego Afton. Przez kilka

sekund walczył z cenną podskakującą od turbulencji, które w tym rejonie nie były niczym niezwykłym. Następnie minął helmiaste przedgórze i znalazł się w spokojnym powietrzu nad terenami rolniczymi. Według komunikatu meteo, widzialność sięgała trzydziestu kilometrów, on jednak z tego pułapu mógł sięgnąć wzrokiem jeszcze dalej. Wokoło na niebie nie było ani jednej chmurki. Kiedy nad horyzontem wyrosły poszarpane szczyty Wirginii Zachodniej, wzniosł maszynę na wysokość tysiąca sześciuset metrów. Uważnie sprawdził wskazania przyrządów pokładowych, dostosował parametry do wysokości przelotowej i rozluźnił się po raz pierwszy od chwili, gdy zaczął kołować na koniec pasa startowego.

W słuchawkach zapadła cisza. Wiedział, że znów zacznie słyszeć meldunki radiowe, gdy wejdzie w zasięg wieży kontrolnej w leżącym sześćdziesiąt kilometrów na południe Roanoke. Ale po krótkim namyśle postanowił trzymać się z dala od lotniska i pozostać w niekontrolowanej przestrzeni powietrznej.

Wiedział z własnego doświadczenia, że psychoanalitycy w rejonie Charlottesville biorą po dwieście dolarów za godzinę. Latanie było o wiele tańsze i znacznie skuteczniejsze, choć to właśnie znany psychiatra doradził mu, aby znalazł sobie nowe hobby, i to szybko. Ray zgłosił się do niego na wizytę tylko dlatego, że musiał z kimś porozmawiać. Dokładnie miesiąc po tym, jak była pani Atlee wystąpiła o rozwód, złożyła wypowiedzenie w pracy i błyskawicznie, bo zaledwie w ciągu sześciu godzin, spakowała swoje ubrania oraz biżuterię i wyprowadziła się z domu, po raz ostatni spotkał się z psychiatrą i prosto od niego pojechał na lotnisko, wszedł do Kokpitu i po raz pierwszy odebrał należną mu porcję zniewag od któregoś z instruktorów, już nie pamiętał – od Dicka Dockera czy Foga Newtona.

Dziwnym sposobem te zniewagi podziały na niego kojąco, uzmysłowiły mu bowiem, że ktoś jeszcze się nim przejmie. A kolejne przyniosły jeszcze bardziej dobroczynny

skutek, bo choć czuł się zraniony i upokorzony, miał wrażenie, że znalazł drugi dom. Od tamtej pory już trzy lata krążył samotnie po bezchmurnym niebie ponad górami Blue Ridge i doliną Shenandoah, to kojąc złość, to znów rozczulając się nad swym losem, opowiadając o swoim życiu pustemu fotelowi drugiego pilota, który zdawał się powtarzać: „Odeszła i musisz się z tym pogodzić”.

Niektóre kobiety odchodzą na jakiś czas i potem wracają. Inne nie wracają, ale do końca żałują tego, co zrobiły. Są jednak i takie, które nagle podejmują decyzję i nigdy nie oglądają się za siebie. Odejście Vicki zostało tak dokładnie zaplanowane i precyzyjnie przeprowadzone, że na wieść o pozwie rozwodowym jego adwokat rzucił krótko:

– Zapomnij o niej, chłopie.

Znalazła sobie lepszy układ, jak zawodnik, który przechodzi do innej drużyny, skuszony korzystniejszymi warunkami – zmienia się koszulkę i znów tak samo uśmiecha do kamery, w jednej chwili puszczając w niepamięć stare śmieci. Któregoś ranka, gdy Ray wyszedł do pracy, po prostu odjechała podstawioną limuzyną, za którą podążyła furgonetka z jej rzeczami. Dwadzieścia minut później już wkraczała do swego nowego domu, eleganckiej rezydencji na farmie z hodowlą koni, na wschód od miasta, gdzie Lew Likwidator już na nią czekał z otwartymi ramionami i gotową do podpisania intercyzą. Był typowym sępem świata wielkiej finansjery i według pobieżnych ocen Raya, zdołał zebrać jakieś pół miliarda, po czym w wieku sześćdziesięciu czterech lat spieniężył wszystkie aktywa, wycofał się z Wall Street i z niewiadomych przyczyn postanowił uwić sobie nowe gniazdko właśnie w Charlottesville.

W trakcie przeprowadzki natknął się na Vicki, złożył jej swoją ofertę, a gdy zaszła w ciążę, zdecydował się uwolnić Raya od ciężaru ojcostwa, żeby z własną rodziną, u boku zdobywczej żony, łatwiej zyskać w tutejszej społeczności status grubej ryby.

– Dość tych wspomnień – odezwał się na głos Ray. Na tym pułapie mógł śmiało gadać do siebie.

Szczerze liczył na to, że Forrest jest trzeźwy i czysty, choć tego typu założenia okazywały się zwykle bezpodstawne, a nadzieje płonne. Było wielce wątpliwe, by po dwudziestu latach ciągłych kuracji odwykowych i kolejnych uzależnień brat na dobre uwolnił się od nałogów. Raczej należało zakładać, że popadnie w następne załamanie nerwowe, co znacznie bardziej pasowało do jego zwyczajów. A w takim stanie będzie zapewne potrzebował pieniędzy, każdego grosza, jaki da się wycisnąć z ojcowskiego majątku.

Tymczasem wszystko, czego ojciec nie rozdał organizmowi społecznym i kalekim dzieciom, topił w czarnej dziurze detoksykacji Forresta. Przez lata zmarnował na ten cel tyle pieniędzy, że wreszcie, zniechęcony, niemal wyklął syna i zerwał z nim wszelkie stosunki. Przez trzydzieści dwa lata przesądzał o rozpadach małżeństw, jedno dziecko odbierał rodzicom, inne kierował do domów opieki, skazywał chorych psychicznie na wieczną izolację, a brutalnych ojców wysyłał do więzienia – podejmował drastyczne i dalekosiężne decyzje, które wchodziły w życie jedynie na podstawie jego podpisu złożonego pod orzeczeniem. Na początku kariery sędziowskiej za jego autorytet ręczyły władze stanu Missisipi, ale w późniejszych latach stało się to wyłącznie ferowaniem boskich wyroków.

Więc jeśli ktokolwiek mógł wykluczyć syna z grona rodziny, to tylko sędzia Reuben V. Atlee.

Na Forreście nie zrobiło to większego wrażenia. Uważał się za istotę obdarzoną wolnym duchem, toteż oznajmił, że jego noga nigdy więcej nie postanie w Klonowym Źdroju. Tak też było przez dziewięć lat, do czasu, aż odwiedził w szpitalu ojca powalonego zawałem serca, kiedy lekarze wezwali całą najbliższą rodzinę. Wyjątkowo był wtedy całkiem trzeźwy.

– Pięćdziesiąt dwa dni, braciszku – szepnął z dumą do Raya, gdy spotkali się w szpitalnym korytarzu. W takich

okresach był jak chodząca tablica świetlna z aktualnym wynikiem meczu.

Jeśli teraz Sędzia planował uwzględnić go przy podziale majątku, nikt nie byłby tym bardziej zdziwiony od samego Forresta, lecz z pewnością kręciłby się w pobliżu, czekając na resztki z pańskiego stołu.

Nad wąwozem New River Gorge w pobliżu Beckley w Wirginii Zachodniej Ray zawrócił. Ta swoista kuracja kosztowała go mniej niż psychoanalityk, ale i tak nie była tania. Licznik bił bez przerwy. Gdyby wygrał na loterii, kupiłby bonanżę i latał, dokąd dusza zapagnie. Za kilka lat będzie mógł wziąć dłuższy urlop. Najpierw jednak powinien skończyć ośmusetstronicową cegłę na temat monopoli, istniał zresztą cień szansy, że mu się to uda. Niemniej coraz częściej marzył o tym, by wynająć bonanżę i zniknąć w przestworzach.

Dwadzieścia kilometrów od lotniska wywołał wieżę kontrolną i odebrał instrukcje. Wiał lekki zmienny wiatr, z lądowaniem nie powinno być żadnych kłopotów. Kiedy był już na wysokości pięciuset metrów, podchodził do odległego o dwa kilometry pasa i prowadził cessnę idealnie po torze schodzenia, wieżę wywołał inny pilot. Zgłosił się jako „challenger dwa-cztery-cztery-Delta-Mike”, był w odległości dwudziestu pięciu kilometrów i nadlatywał z północy. Kontroler pozwolił mu lądować zaraz za cessną.

Ray odpędził od siebie marzenia o lepszej maszynie tylko na tak długo, by idealnie posadzić samolot na pasie, wyhamować i skrócić w drogę dojazdową. Ale kołując w stronę rampy, myślał już o challengerze, niewielkim, budowanym w Kanadzie odrzutowcu, mieszczącym od ośmiu do piętnastu osób w zależności od konfiguracji wnętrza. Śmiało można nim było wyruszyć w lot z Nowego Jorku do Paryża, podczas którego steward serwowałby pasażerom przekąski i drinki. Nowa maszyna kosztowała około dwudziestu pięciu milionów dolarów, chociaż cena zależała od dodatkowego wyposażenia.

A challenger o numerze rejestracyjnym 244DM należał

do Likwidatora, stanowił trofeum po którejś z najechanych przez niego, a następnie zostawionych na pastwę losu firm. Ray przyglądał się, jak ląduje za nim, w głębi duszy mając nadzieję, że się rozbije i stanie w płomieniach na skraju pasa, tworząc spektakularne widowisko. Ale tak się nie stało. Odrzutowiec wylądował bezpiecznie i pokołował w kierunku prywatnego terminalu. Rayowi nagle serce ścisnęło się w piersi.

Od czasu rozvodu dwukrotnie widział z daleka Vicki, ale nie chciał jej zobaczyć po raz trzeci, siedząc w kabine dwudziestoletniej cessny, kiedy ona będzie zbiegała po schodkach z ociekającego złotem odrzutowca. Myślał z nadzieją, że nie ma jej na pokładzie, a Lew Rodowski wraca sam z kolejnej zbójeckiej wyprawy.

Odciał dopływ paliwa i zgasił silnik, a gdy challenger zbliżył się do awionetki, osunął się na fotelu, zerkając tuż ponad krawędzią okna.

Odrzutowiec zatrzymał się nie dalej niż trzydzieści metrów od cessny i natychmiast podjechała do niego duża czarna limuzyna z zapalonymi światłami, jakby do Charlottesville przybyła z wizytą para królewska. Z auta energicznie wyskoczyło dwóch osiłków w zielonych letnich koszulkach i spodniach khaki, gotowych służyć pomocą swemu mocodawcy i każdemu, kto zjawił się razem z nim. Otworzyły się drzwi challenger'a i steward opuścił składane schodki. Ray osunął się jeszcze niżej i zerknął ostrożnie znad krawędzi tablicy przyrządów. Na schodkach pojawił się pilot niosący dwie duże torby z zakupami.

Tuż za nim wyłoniła się Vicki z dwuletnimi bliźniakami, Simmonsem i Ripleyem – biedactwami, które zamiast imion dostały na chrzcie słynne nazwiska, gdyż ich matka była kompletną idiotką, a ojca, który wcześniej spłodził dziewięcioro dzieci, ani trochę nie obchodziło, jak się będą nazywali. Ray miałby nawet wątpliwości, czy to chłopcy, gdyby nie czytał notatek w rubryce towarzyskiej lokalnej gazety. Przyszli na

świat w szpitalu Marthy Jefferson dokładnie siedem tygodni i trzy dni po ogłoszeniu rozvodu państwa Atlee oraz siedem tygodni i dwa dni po tym, jak Vicki w bardzo widocznej już ciąży poślubiła Rodowskiego, dla którego była to już czwarta pielgrzymka do ołtarza, czy jak też to nazywano na farmie z hodowlą koni.

Trzymając dzieci za rączki, Vicki zaczęła ostrożnie schodzić na ziemię. Widać było, że jest warta pół miliarda, choćby po designerskich obcisłych dżinsach podkreślających jej zgrabne biodra, wyraźnie szczuplejsze od czasu, gdy dołączyła do grona ludzi podróżujących prywatnymi odrzutowcami. Szczerze mówiąc, wyglądała jak zagłodzona – chude ramiona, mała, płaska pupa i zapadnięte policzki. Trudno było cokolwiek powiedzieć o jej oczach, ukrytych za wielkimi ciemnymi okularami, z pewnością będącymi ostatnim krzykiem mody w Hollywood albo Paryżu.

Lew Likwidator natomiast na pewno nie głodował. Dreptał niecierpliwie za swą obecną żoną i najnowszym przychówkiem. Powtarzał w wywiadach, że uczestniczy w biegach maratońskich, ale była to raczej bujda, podobnie jak większość tego, co opowiadał dziennikarzom. W każdym razie był zwalisty i miał wielkie brzuszysko. Stracił już co najmniej połowę włosów, a te, które zostały, były całkiem siwe. Ona miała czterdzieści jeden lat i wyglądała na trzydzieści, on skończył sześćdziesiąt cztery, a wyglądał jak po siedemdziesiątce, przynajmniej w oczach Raya odczuwającego z tego powodu wielką satysfakcję.

Po załadowaniu wielkich toreb ze znakami Saksa i Bergdorfa cała rodzinka wraz z pilotem, stewardem i dwoma gorylami zapakowała się do limuzyny. Najwyraźniej wrócili z drobnych zakupów na Manhattanie, dokąd challengerem leciało się najwyżej trzy kwadranse.

Auto odjechało, przedstawienie dobiegło końca. Ray wyprostował się w fotelu pilota.

Gdyby nie czuł do byłej żony tak głębokiej nienawiści,

pewnie długo by jeszcze siedział w kabinie, wspominając swoje małżeństwo.

Nie było żadnych znaków ostrzegawczych, żadnych awantur ani ochłodzenia ich wzajemnych stosunków. Vicki po prostu wybrała ciekawszą ofertę.

Otworzył drzwi, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że cały kołnierzyk koszuli ma mokry od potu. Otarł grube krople z brwi i zeskoczył na ziemię.

Po raz pierwszy w krótkiej karierze pilota głęboko żałował, że tego dnia w ogóle przyjechał na lotnisko.